

Conan i Szmaragdowa Toń

Robert Howard



calibre 0.9.27

ROBERT E. HOWARD

CONAN i Szmaragdowa toń

WSTĘP

Spośród ogromu literatury fantastycznej szczególnym powodzeniem cieszą się utwory w stylu fantasy, wywodzące swój rodowód od mitów, legend i poematów starożytnych ludów. Wydaje się, że ich popularność spowodowana jest wyraźnym pokrewieństwem ze światem baśni, a także stopniowym spadkiem zainteresowania fantastyką naukową utrzymaną w konwencji "hard", epatującą czytelnika drobiazgowymi, najczęściej quasi-naukowymi opisami zjawisk i technologii. Sprzyjają temu również tendencje eskapistyczne pojawiające się zawsze w okresach kryzysów, oraz wzmagające się rozczarowanie owocami postępu technicznego. Brak jednoznacznej definicji stylu fantasy sprawia, że część krytyków kategorycznie zaprzecza istnieniu fantastyki baśniowej jako odrębnego podgatunku. Taką opinię wyraża na przykład Stanisław Lem w posłowie do wydanej ostatnio książki Ursuli K. Le Guin "Czarnoksiężnik z archipelagu". Chyląc czoła przed mistrzem uważam jednak, że można wyróżnić dwa podstawowe kryteria odróżniające fantastykę baśniową od reszty gatunku; drobiazgowo opracowane tło pseudohistoryczne, pseudoetnograficzne i pseudogeopolityczne oraz występowanie sił magicznych przy jednoczesnym braku zaawansowanych nauk i technologii. Wielbiciele trylogii J. R. R. Tolkiena z pewnością się ze mną zgodzą. W Polsce ukazało się niewiele pozycji reprezentujących styl fantasy.

Wspominana już książka Ursuli K. Le Guin razem z jej uprzednio wydanym zbiorem opowiadań pt. "Wszystkie strony świata" oraz trzy dzieła J. R. R. Tolkiena ("Hobbit, czyli tam i z powrotem", "Władca pierścieni", "Rudy Dżil i jego pies" - przy czym ostatnia pozycja nie jest już fantasy sensu stricto) zamykają listę. Paru innych autorów znanych jest polskim czytelnikom z krótkich opowiadań drukowanych w różnych periodykach (np. Andre Norton, Henry Kuttner) i fragmentarycznych wzmianek krytyki. Miesięcznik "Fantastyka" wydał numer poświęcony fantasyce baśniowej. Jak do tej pory jednak nazwiska czołowych przedstawicieli gatunku, począwszy od pionierów - Williama Morrisa, Lorda Dunsany i Erica R. Eddisona, po twórców późniejszych - R. E. Howarda, C. A. Smitha, C. L. Moore, L. S. de Campa i M. Moorcocka, nie są znane ogółowi czytelników w naszym kraju.

Obecnie prezentujemy wielbicielom świata "Miecza i Magii" niezwykle popularnego na Zachodzie bohatera - Conana, stworzonego przez amerykańskiego pisarza R. E. Howarda. Robert Ervin Howard (1906-1936) napisał kilka serii powieści w stylu fantasy, z których najdłuższą i cieszącą się największym powodzeniem jest seria obejmująca opowieści o Conanie. Za życia Howarda opublikowano 18 utworów, których bohaterem był Conan - 8 innych w różnym stopniu zaawansowania odkryto w papierach pisarza po jego śmierci.

Rozpoczynając serię opowiadań o Conanie, Howard skonstruował własną wizję świata, w którym umieścił bohatera, drobiazgowo opracowując tło swych utworów w eseju "The Hyborian Age". Pisząc kolejne

części sagi, Howard opierał się na wymyślonych przez siebie faktach z żelazną konsekwencją, cechującą, jak twierdził: "każdego dobrego pisarza powieści historycznych". Właśnie te solidne podstawy świata sprawiają, że przygody Conana są wciąż interesującą lekturą - podobnie jak zaliczane do klasyki utwory Tolkiena. Tym, których oburzy zestawienie nazwisk obu pisarzy przypomnę tylko, że "Władca pierścieni" Tolkiena powstał w latach 1936 - 1943, a "Hobbit..." w roku 1937, a więc wtedy, gdy Howard już nie żył.

Akcja opowiadań składających się na sagę o Conanie toczy się na Ziemi około 12 tysięcy lat temu. W tym czasie (wg Howarda) zachodnie części głównego kontynentu Wschodniej Półkuli zajmowały królestwa hyboryjskie, założone 3 tysiące lat wcześniej na ruinach imperium zła - Acheronu przez Hyborian, najeźdźców z północy. Na południe od królestw hyboryjskich leżały kłótniwe miasta - państwa Shemu. Za Shemem drzemało starożytne, złowrogie królestwo Stygii; rywal i partner Acheronu w krwawych dniach jego chwały. Jeszcze dalej na południe, za pustyniami i sawannami leżały barbarzyńskie Czarne Królestwa. Na północ od Hyboryi ciągnęły się surowe ziemie Cymmerii, Hyperborei, Asgardu i Vanaheim. Na zachodzie, wzdłuż wybrzeży oceanu, zamieszkiwali dzicy Piktowie, a na wschodzie błyszczwały bogate królestwa hyrkaniańskie, z których najpotężniejszym był Turan. Conan był barbarzyńskim awanturnikiem urodzonym w Cymmerii - północnej krainie poszarpanych skał i pułstego nieba. Po ojcu kowalu odziedziczył herkulesową siłę i posturę. Już jako piętnastoletni chłopiec bierze udział w plądrowaniu Venarium,

aguiłońskiego posterunku granicznego. W rok później przyłącza się do oddziału Esirów i zostaje schwytyany przez Hyperborejów podczas grabieżczej wyprawy na ich ziemie. Ucieka z niewoli i wędruje na północ, do królestwa Zamory. Przez kilka lat wiezie tam i w przyległych królestwach Koryncji i Nemedii ryzykowny żywot złodzieja. Nienawykły do cywilizacji i samowolny z natury, wrodzonym sprytem i siłą nadrabia braki w edukacji. Zmęczony głodową egzystencją zaciąga się jako najemnik w szeregi armii Turanu. Przez następne dwa lata odbywa liczne podróże daleko na wschód, do legendarnych ziem Meru i Khitanu. Po wielu perypetiach wynajmuje swoje żołnierskie usługi kolejnym państwom hyboreańskim. Zmuszony do ucieczki z Argos staje się piratem u wybrzeży Kush razem z shemicką kobietą-piratem, Belit. Tam zdobywa sobie imię Amra-Lew. Po utracie Belit Conan znów powraca do żołnierskiego rzemiosła - tym razem w Shemie i przyległych państwach. Później przeżywa przygody wśród wyjętych spod prawa jeźdźców wschodnich stepów, wśród piratów na Morzu Vilayet, wśród górskich szczepów zamieszkujących Góry Himeliańskie na granicach Iranistanu i Vendhyi (znów następny okres żołnierski w Koth i Argos, po którym zostaje najpierw piratem na wyspach Baracha, później kapitanem zingarańskich bukanierów... itd., itd.). Pełna saga o Conanie liczy ponad dwadzieścia tomów i nie sposób w tym miejscu choćby pobieżnie streścić jego burzliwy żywot.

Pirat i wierny żołnierz - hulaka, niezwyknięty w boju, szlachetny wobec słabszych, wrażliwy na blask złota i kobiece wdzięki, nieustraszony

Conan brnie przez potoki krwi zwyciężając ludzi, potwory i podstępnych czarowników, by w końcu zostać królem potężnego państwa - Aguilonii.

Okolo 500 lat po czasach Conana Wielkiego, większość królestw Ery Hyboriańskiej zmyła fala najazdu barbarzyńców. Przez kilkaset następnych lat Ziemię zamieszkiwały nieliczne, wędrowne plemiona wiecznie walczących ze sobą koczowników. Później resztki cywilizacji zostały starte przez ostatni pochód lodowców i potężne wstrząsy tektoniczne. Wtedy właśnie powstało Morze Śródziemne i Morze Północne, wielkie Morze Vilyet zmniejszyło się do rozmiarów dzisiejszego Morza Kaspijskiego, a z fal Atlantyku wynurzyły się rozległe obszary Afryki Zachodniej. Ludzkość stoczyła się do poziomu prymitywnych dzikusów. Po cofnięciu się lodowca cywilizacja znów zaczęła się rozwijać osiągając stan dzisiejszy.

Zapraszam wszystkich do hyboriańskiego świata i życzę przyjemnej lektury!

Poznań, grudzień 1989 r.

Zbigniew

A. Królicki

SZMARAGDOWA TONIA

(The Pool of the Black One)

Porzucając złodziejską profesję Conan staje się piratem zdobywając sobie przydomek Amra-Lew. Wraz z Belit - piękną współtowarzyszką pirackich rajdów - łupi i niszczy kupieckie statki oraz nadmorskie osady. Nie sprzyja mu jednak szczęście. Z opresji obronną ręką wychodzi żywy, lecz najczęściej samotny. Śmierć Belit jest kolejnym ciosem pozbawiającym go bliskiej mu duszy. Raz jeszcze udaje mu się umknąć przed zemstą przerażających mrocznych sił zła stojących na straży legendarnych bogactw H'nora. Uciekając przed nimi decyduje się na samotny rejs przez Ocean Zachodni łudząc się, że może i tym razem uratuje swą skórę. Nie wie, jak trudno jest umknąć przed zemstą raz nierozważnie ożywionych

pradawnych mocy.

Na zachód, gdzie człowiek nigdy nie bywał, okręt za okrętem z dawien dawna pływał. Co Skelos napisał czytaj, jeśliś śmiały, gdy trupie ręce to-gę mu szarpały; i płyn za statkami mimo wichrów siły... Płyn za statka-mi, które nie wróciły.

Sancha, niegdyś mieszkanka Kordavy, ziewnęła beztrosko, leniwie przeciągnęła gibkie ciało i ułożyła się wygodnie na lamowanym gronostajami jedwabiu rozpostartym na górnym pokładzie rufowym karaweli. W pełni zdawała sobie sprawę z tego, że załoga dziobu i śródokręcia przygląda się jej z lubieżnym zainteresowaniem, jak również z tego, że krótka, jedwabna tunika nie zakrywa powabów jej bujnego ciała. Uśmiechnęła się wyzywająco, gotowa łowić ich znaczące mrugnięcia zanim oślepi ją słońce, którego złota tarcza właśnie wyłoniła się z morza.

Nagle do jej uszu dotarł jakiś dźwięk, w niczym nie przypominający trzeszczenia wiązań, skrzypienia lin czy plusku fal. Usiadła i spojrzała na nadburcie, przez które - ku jej bezmiernemu zdziwieniu - przechodził jakiś mężczyzna. Dziewczyna szeroko otworzyła swe czarne oczy, a jej usta rozchyliły się w zdumionym "O!". Intruz był jej zupełnie nie znany. Strugi wody spływały mu po szerokiej piersi i muskularnych ramionach. Jasnoczerwone, jedwabne bryczesy będące jego jedynym odzieniem były zupełnie przemoczone, tak samo jak szeroki pas ze złotą klamrą i skórzana pochwa, w której tkwił długi miecz. Stojąc przy relingu, obramowany blaskiem wschodzącego słońca, mężczyzna zdawał się olbrzymim posągim z brązu.

Przesunął palcami po ociekającej wodą czarnej grzywie włosów, a w jego niebieskich oczach zapalił się błysk uznania, gdy ich spojrzenie padło na dziewczynę.

- Kim jesteś? - spytała. - Skąd się tu wziąłeś?

Nie odrywając od niej oczu wskazał za siebie gestem, który objął pół ho-

ryzontu.

- Czy jesteś trytonem, że wylaniasz się z morza? - zapytała, stropiona jego bezceremonialnością, chociaż zdążyła już przywyknąć do pełnych podziwu spojrzeń.

Zanim zdążył odpowiedzieć, o pokład zadudniły szybkie kroki i kapitan statku przeszył intruza gniewnym spojrzeniem, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

- Kimże do diabła jesteś? - spytał niezbyt przyjaznym tonem.

- Jestem Conan - odparł tamten z niezmqconym spokojem.

Sancha jeszcze baczniej nastawiła ucha; jeszcze nigdy nie słyszała, by ktoś mówił po zingarańsku z takim dziwnym akcentem.

- Jak się dostałeś na pokład mojego statku? - pytał podejrzliwie kapi-

tan.

- Przyplłynąłem.

- Przyplłynąłeś?! - wykrzyknął pytający ze złością. – Żarty sobie ze mnie stroisz, psie? Jesteśmy daleko od lądu. Skąd przybywasz?

Conan wskazał muskularnym, opalonym ramieniem na wschód, gdzie nad horyzontem stała oślepiająca, złocista poświata wylaniającego się słońca.

- Przybywam z Wysp.

- Ach tak! - kapitan spojrzał nań z rosnącym zainteresowaniem. Jego czarne brwi zmarszczyły się gniewnie, a cienkie wargi wykrzywił nieprzyjemny grymas. - A więc jesteś jednym z tych barachańskich psów.

Conan uśmiechnął się.

- Wiesz kim jestem? - dopytywał się kapitan.

- Ten statek to "Wastrel", zatem ty musisz być Zaporavo.

- Tak!

To, że przybysz słyszał o nim, mile polechtało próżność Zaporavo. Był mężczyzną równie wysokim jak Conan, chociaż znacznie szczuplejszym.

Jego okolona stalowym hełmem twarz była smagła i posepna. Ze względu na ostre rysy załoga nazywała go Jastrzębiem. Miał na sobie świetną zbroję i kosztowne szaty skrojone na modłę zingarańską. Jego dłoń zawsze spoczywała w pobliżu rękojeści miecza.

W spojrzeniu, jakim mierzył Conana, nie było cienia sympatii. Zingarańscy renegaci i wyjęci spod prawa rabusie, od których roilo się wy-

brzeże Zingary i na leżących na południe od niego Wyspach Barachańskich, nie pałali do siebie sympatią. Barachańscy rabusie byli przeważnie marynarzami z Argos, chociaż można było wśród nich spotkać również inne nacje. Napadali na statki handlowe i nadbrzeżne miasta Zingary tak samo jak Zingarańscy bukanierzy, chociaż ci dodawali swemu zajęciu splendoru nazywając się korsarzami i uważając Barachańczyków za piratów. Nie oni pierwsi i nie ostatni próbowali nadać piękną nazwę zwykłemu rozbojowi.

Niektóre z tych myśli przeleciały Zaporavo przez głowę, gdy stał bawiąc się rękojeścią miecza i mierząc ostrym spojrzeniem nieproszonego gościa. Conan niczym nie zdradzał swoich uczuć. Stał z rękami założonymi na piersi i uśmiechał się z niezmqconym spokojem, jakby znajdował się na pokładzie swojego statku.

- Co tu robisz? - spytał nagle kapitan.

Zeszłej nocy musiałem opuścić moich przyjaciół w Tortadze - odparł

Conan. - Odplynąłem przeciekającą łódką; przez całą noc wioslowałem i wylewałem wodę. Tuż po wschodzie słońca zobaczyłem maszty twojego statku i zostawiłem tę nędzną krypę własnemu losowi; skoczyłem do wody i popłynąłem.

- W tych wodach są rekiny - mruknął Zaporavo i poczuł irytację, gdy

Conan w odpowiedzi wzruszył potężnymi ramionami. Kapitan rzucił okiem na śródkręcie i dostrzegł dziesiątki zwróconych ku nim twarzy.

Na jedno jego słowo marynarze przetoczyliby się przez pokład niczym stalowy walec, miażdżąc nawet tak groźnego przeciwnika, jakim zda-

wał się być przybysz.

- Czemu miałbym zabierać na pokład każdego obdartego przybłędę, który wynurzy się z morza? - warknął Zaporavo, a jego mina i gest były bardziej obraźliwe niż słowa.

- Na statku zawsze przyda się jeszcze jeden dobry marynarz - odparł tamten bez urazy. Zaporavo zmarszczył brwi, wiedząc, że to prawda. Zawahał się i w ten sposób stracił statek, dziewczynę i życie. Jednak, rzecz jasna, nie mógł zajrzeć w przyszłość i Conan był dla niego tylko zwykłym rozbitkiem wyrzuconym przez fale. Wprawdzie ten przybysz nie podobał mu się, jednak niczym go nie sprowokował. Jego zachowanie nie dawało powodu do obrazy, chociaż jak na gust Zaporavo był nazbyt

pewny siebie.

- Zapracujesz na swoje utrzymanie - warknął Jastrząb. - Złaż na pokład.

I pamiętaj, że na tym statku moja wola jest jedynym prawem.

Grube wargi Conana rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Bez wahania, ale i bez pośpiechu odwrócił się i zszedł na śródokręcie. Nie spojrzał więcej na Sanchę, która bacznie przysłuchiwała się rozmowie, cała zmieniając się w słuch.

Gdy Conan zszedł na dół, załoga otoczyła go ciasnym pierścieniem; półnaczy Zingarańczycy w krzykliwych strojach poplamionych smołą, błyskający złotymi kolczykami i wysadzanymi klejnotami rękojeściami tkwiącymi w pochwach sztyletów. Niecierpliwie czekali na uświęconą tradycją zabawę powitania nowego kamrata. Miało to zadecydować nie tylko o jego losie, ale i o przyszłej pozycji wśród załogi. Stojący na górnym pokładzie Zaporavo już widocznie zapomniał o istnieniu przybysza, ale Sancha patrzyła w pełnym napięcia oczekiwaniu. Dobrze знаła te zabawy i wiedziała, że zawsze są brutalne i często krwawe.

Jednak jej wiedza była znikoma w porównaniu z doświadczeniem Conana. Ten uśmiechnął się lekko, gdy zszedł na śródokręcie i ujrzał otaczający go tłum groźnych postaci. Nie okazując cienia strachu zmierzył ich nieprzeniknionym spojrzeniem. W tych sprawach obowiązywał pewien niepisany kodeks. Gdyby zaatakował kapitana, cała załoga skoczyłaby mu do gardła, ale teraz czekała go walka z jednym tylko przeciwnikiem. Człowiek, którego do tego wybrali, wysunął się naprzód - żyłasty zabija-

ka z głową obwiązaną czerwoną szarfą, niczym turbanem. Mężczyzna ten miał wystający, chudy podbródek i niewiarygodnie brzydką, poznaczoną bliznami twarz. Każde jego spojrzenie i gest były obraźliwe i wyzywające. Sposób, w jaki zamierzał sprowokować bójkę, był równie prymitywny

i nieokrzesany jak on sam.

- Z Wysp Barachańskich, co? - parsknął. Tam psy udają ludzi. My z Bractwa plujemy na nich - o tak!

Plunął Conanowi w twarz i chwycił za miecz.

Ruchy Barachańczyka były zbyt szybkie, aby je pochwycić wzrokiem.

Jego ogromna pięść ze straszliwą siłą uderzyła w szczękę przeciwnika, który wyleciał w powietrze i spadł jak zmięty lachman przy relingu.

Conan odwrócił się do pozostałych. W jego zachowaniu nie dostrzegł żadnej zmiany; tylko w oczach zapalił mu się ponury błysk. Jednak zabawa skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Marynarze podnieśli swego towarzysza; złamana szczęką opadła mu na piersi, a głowa odchyliła się pod nienaturalnym kątem.

- Na Mitrę, ma złamany kark! - zakrzyknął jeden z piratów.

- Wy, korsarze macie słabe kości - zaśmiał się Conan. - Na Wyspach Barachańskich nie zwracamy uwagi na takie klapsy. A może któryś z was chce spróbować się ze mną na miecze? Nie? No to wszystko w porządku i jesteśmy przyjaciółmi, no nie?

Zgodny chór głosów zapewnił go, że to prawda. Krzepkie ręce przerzuciły trupa przez burtę i tuzin pletw natychmiast przeciął wodę zmierzając ku miejscu, gdzie zatonęły zwłoki. Conan roześmiał się i wyprężył potężne ramiona przeciągając się leniwie jak wielki kot. Jego spojrzenie pobiegło ku górnemu pokładowi. Sancha przechyliła się przez reling; pełne wargi miała rozchylone, a w oczach wyraźne zainteresowanie. Świecące

za jej plecami słońce prześwietlało jej cienką tunikę, ukazując kontury gibkiego ciała. Nagle pojawił się przy niej groźny cień Zaporavo i ciężka ręka objęła władczy gestem smukłe ramiona dziewczyny. W spojrzeniu, jakim kapitan zmierzył stojącego na śródkręciu przybysza, była wyraźna groźba i ostrzeżenie; Conan odpowiedział uśmiechem, jakby śmiał się z jakiegoś sobie tylko znanego żartu.

Zaporavo popełnił błąd, jaki popełnia wielu tyranów; odizolowany w ponurej wspaniałości górnego pokładu nie docenił swego przeciwnika. Miał okazję zabić Conana i stracił ją pogrążony w swych posepnych rozmyślaniach. Nie był w stanie wyobrazić sobie, że któryś z tych psów na dolnym pokładzie mógłby stanowić dla niego jakieś zagrożenie. Od tak dawna był kapitanem i pokonał tylu wrogów, że podświadomie uznał, iż

jest ponad zakusy ewentualnych rywali.

Conan rzeczywiście niczym go nie prowokował. Zbratał się z załogą, żył i bawił się razem z nimi. Okazał się doświadczonym marynarzem i najsilniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widzieli. Pracował za trzech i zawsze był pierwszy do każdej ciężkiej czy niebezpiecznej roboty. Towarzysze zaczęli na nim polegać. On nigdy się z nimi nie kłócił, a i oni starali się z nim nie spierać. Grał z nimi w kości; postawił swój pas i pochwę na miecz, wygrał ich oręż i pieniądze, po czym oddał im wszystko ze śmiechem. Załoga instynktownie uważała go za przywódcę forkasztelu. Nie spieszył się ze zwierzeniami i nie wyjaśnił, dlaczego musiał uciekać z Wysp Barachańskich, jednak świadomość tego, że był zdolny do czynów tak krwawych, że wykluczyły go z szeregów pirackiego bractwa zwiększyło tylko respekt, jakim darzyli go nowi towarzysze. Wobec Zaporavo i jego oficerów zachowywał się niezwykle uprzejmie, nigdy nie był bezczelny czy służalczy.

Nawet najmniej rozgarnięty korsarz musiał dostrzec różnicę między młomównym, szorstkim kapitanem a piratem, który śmiał się często i głośno, znał wesołe ballady w kilku językach, żłopał piwsko jak smok i nigdy nie myślał o jutrze.

Gdyby Zaporavo wiedział, że chociaż nieświadomie, jednak porównywano go ze zwykłym marynarzem z forkasztelu, zaniemówiłby z gniewu i zdumienia. Jednak był zbyt pogrążony w swoich rozważaniach, które w miarę upływu lat stawały się coraz bardziej mroczne i ponure; w dziw-

nych snach o wielkości i myślach o dziewczynie, z której posiadania czerpał tyleż przyjemności ile goryczy, jak ze wszystkich swoich przyjemności. Ona zaś coraz częściej spoglądała na czarnowłosego giganta, który przewyższał swoich towarzyszy w pracy i w zabawie. Nigdy nie odezwał się do niej nawet słowem, ale trudno było nie zrozumieć wymowy jego spojrzeń. Dziewczyna zastanawiała się, czy odważy się na ryzykowną grę kokietowania przystojnego marynarza.

Wprawdzie od czasów, gdy pędziła dni w pałacach Kordavy, nie upłynęło tak wiele czasu, ale zdawało jej się, że ocean wydarzeń dzieli ją od życia, jakie wiodła zanim Zaporavo uniósł ją wrzeszczącą z płonącej karaweli, którą plądrowała jego zgraja. Ukochana i rozpieszczona córka księcia Kordavy dowiedziała się, jak to jest być zabawką bukaniera, a ponieważ była na tyle giętka, by się nagiąć i nie złamać przeżyła to, co zabiło wiele innych kobiet, a ponieważ była młoda i pełna życia, zdołała nawet znaleźć trochę przyjemności w tej egzystencji. Było to niespokojne, podobne do snu życie, pełne rzezi, pożogi, bitew i ucieczek, a krwawe wizje Zaporavo czyniły je jeszcze bardziej niepewnym. Nikt nigdy nie wiedział, co zamierza kapitan. Już dawno zostawili w tyle oznaczone na mapach akweny i zagłębiali się wciąż dalej i dalej w nieznane, puste obszary zwykle nieuczęszczane przez żeglarzy, albowiem od zarania dziejów zapuszczające się tu statki na zawsze znikaly z ludzkich oczu. Wszystkie znane lądy pozostały za nimi i dzień po dniu przed oczami załogi rozciągał się tylko błękitny, pofalowany bezmiar. Nie było tu żadnych widoków na łupy: ani miast do złupienia, ani statków do zdobycia. Ludzie mruzcze-

li, chociaż robili to tak, by nie słyszał ich nieubłagany kapitan, który w ponurym majestacie przemierzał niestrudzenie górny pokład lub ślęczał nad starymi, pożółkłymi mapami, albo czytał księgi o zbutwiałych, rozsypanych się kartach. Czasami opowiadał dziewczynie o zaginionych lądach i legendarnych wyspach wznoszących się wśród spienionych fal u niezbadanych brzegów, gdzie rogate smoki strzegły skarbów zebranych przez pradawnych królów.

Sancha słuchała go nie rozumiejąc i obejmując splecionymi rękami szczupłe kolana coraz częściej uciekała myślami od swego posępnego pana do smagłego, niebieskookiego olbrzyma, którego śmiech miał siłę

morskiego wichru.

I tak, po wielu nużących tygodniach podróży, dostrzegli wreszcie ląd i o świcie zarzucili kotwicę w płytkiej zatoczce. Ujrzeni plażę, podobną do białej obrączki otaczającej bezmiar łagodnych, pokrytych trawą zboczy zasłoniętych wysokimi drzewami. Wiatr przyniósł zapach kwiecia i świeżej roślinności. Sancha klasnęła w dłonie, ciesząc się na myśl o ciekawej wycieczce na ląd. Jednak jej niecierpliwość zmieniła się w przygnębienie, gdy Zaporavo kazał jej zostać na pokładzie dopóki po nią kogoś nie przyśle. Nigdy nie tłumaczył swojego postępowania, tak więc nigdy nie знаła jego pobudek, chyba że drzemiący w nim demon kazał mu krzywdzić ją

bez powodu.

Tak więc siedziała zgnębiona na górnym pokładzie i patrzyła na łódź płynącą do brzegu przez spokojne wody, które skrzyły się w słońcu jak płynny nefryt. Zobaczyła, jak załoga wysiada na piasek rozglądając się wokół podejrzliwie i trzymając broń w pogotowiu. Kilku zagłębiło się w kępy drzew okalających plażę. Wśród nich dostrzegła Conana, nieomylnie wylawiając z tłumu jego barczystą, wysoką postać. Ludzie mówili, że on nie był cywilizowanym człowiekiem, lecz Cymmerianinem, jednym z tych barbarzyńskich górali, którzy zamieszkują nagie wyżyny dalekiej Północy i szerzą strach wśród swych południowych sąsiadów. Dziewczyna wiedziała, że coś w tym musi być; miał w sobie jakąś niezwykłą witalność, która wyróżniała go spośród reszty załogi.

Głosy bukanierów odbijały się głośnym echem od brzegu; cisza dodała im odwagi. Rozproszyli się po plaży w poszukiwaniu owoców. Widziała, jak wspinają się na drzewa i ślina napłynęła jej do ust. Tupnęła drobną stopą i zakłęta z wprawą nabytą poprzez przystawanie z nieokrzesanymi

kompanami.

Ci na brzegu rzeczywiście znaleźli owoce i zażerali się nimi łapczywie, szczególnie jakąś nieznaną odmianą jabłek o złocistej skórce. Zaporavo nie szukał owoców i nie jadł ich. Kiedy wystani w głąb lasu zwiadowcy wrócili nie znajdując żadnych śladów wskazujących na obecność ludzi czy zwierząt, przez chwilę stał spoglądając na wyspę, na długie szeregi łagodnych zboczy wznoszących się jedno za drugim. Później, rzuciwszy krótki rozkaz, podciągnął pas i wszedł między drzewa. Jeden z jego zastępców zaprotestował przeciw tej samotnej wyprawie i w nagrodę za swoją troskę otrzymał potężny cios w twarz. Zaporavo miał swoje powody, by iść na rekonesans bez asysty. Chciał się przekonać, czy wyspa jest istotnie tą, o której Skelos w swojej księdze pisał, że wedle bezimiennych mędrców dziwne potwory strzegą na niej lochów pełnych pokrytego hieroglifami złota. Nie miał zamiaru dzielić się swymi domysłami - jeżeli były trafne - z kimkolwiek, a szczególnie ze swoją załogą. Sancha, pilnie obserwująca go z pokładu, widziała, jak Zaporavo znika w gąszczu. Po chwili zobaczyła, że Conan odwraca się i obrzuciwszy uważnym spojrzeniem rozproszonych po plaży piratów rusza szybkim krokiem w ślad za

kapitanem.

Sancha poczuła ułtucie ciekawości. Spodziewała się, że obaj mężczyźni znów się pojawią na brzegu, ale tak się nie stało. Marynarze wałęsali się tu i tam; kilku poszło w głąb wyspy. Wielu ułożyło się w cieniu i zapadło w sen. Czas płynął i dziewczyna zaczęła się wiercić niespokojnie. Słońce przygrzewało coraz mocniej mimo baldachimu rozpiętego nad pokładem. Było gorąco, cicho i sennie, gdy tymczasem kilkadziesiąt jardów dalej, za pasem płytkiej, błękitnej wody wabił ją chłodny cień okolonej drzewami plaży i zielonej gęstwiny. Poza tym nie dawało jej spokoju dziwne zachowanie Zaporavo i Conana. Dobrze wiedziała, jakiej kary za nieposłuszeństwo może oczekiwać od swojego bezlitosnego pana, dlatego też długo wahała się. W końcu zdecydowała, że dla wyjaśnienia zagadki warto nawet narazić się na bicie i niezwłocznie zrzuciła miękkie, skórzane sandały oraz cienką tunikę i stanęła na pokładzie naga jak w dniu narodzin. Przeszła przez reling i spuściwszy się po łańcuchu kotwicznym weszła do wody i popłynęła do brzegu. Przez chwilę stała na plaży, drepzcząc w ciepłym, laskoczącym w stopy piasku i rozglądając się dokoła. Dostrzegła tylko kilku marynarzy i to dość daleko od miejsca, gdzie stała. Wielu z nich spało pod drzewami wciąż ściskając w rękach nie dojedzone, złociste owoce. Sancha przelotnie zastanowiła się, dlaczego sen zmorzył ich o tak

wczesnej porze.

Nikt jej nie zatrzymywał, gdy przekroczyła biały pas piasku i weszła w cień lasu. Zaraz też przekonała się, że drzewa rosły tu nieregularnymi kępami, a między nimi rozciągały się ginące w dali stoki zielonych pagórków. W miarę jak podążała w głąb wyspy w ślad za Zaporavo, przed jej oczarowanym wzrokiem rozpościerały się wciąż nowe i nowe widoki; łagodne zbocza pokryte zieloną murawą i gęsto usiane drzewami. Między stokami leżały głębokie dolinki, również porośnięte trawą. Krajobraz zdawał się wtapiać w siebie; każdy jego element zlewał się z innymi, każdy zdawał się nie mieć kresu. Nad wszystkim zalegała senna cisza, jakby czar rzucony na całą wyspę.

Nagle Sancha wyszła na niewielką polankę otoczoną wysokimi drzewami i natychmiast wróciła do rzeczywistości na widok tego, co ujrzała na zdeptanej i zbroczonej krwią murawie. Wydała mimowolny okrzyk zgrozy i cofnęła się o krok drżąc z przerażenia. Po chwili podeszła bliżej, patrząc szeroko otwartymi oczami.

Na trawie leżał Zaporavo z głęboką raną w piersi, spoglądając w niebo szklistymi oczami. Miecz wypadł mu z pozbawionej czucia dłoni. Jastrząb zakończył swój ostatni lot

Sancha patrzyła na trupa swego pana nie bez pewnego wzruszenia.

Wprawdzie nie miała powodu by go kochać, jednak czuła to, co odczuwałaby każda dziewczyna widząc zwłoki tego, który pierwszy ją posiadał. Nie płakała i nie miała na to ochoty, jednak zadrżała i serce podeszło jej do

gardła - z trudem oparła się ogarniającej ją panice.

Rozejrzała się szukając człowieka, którego spodziewała się tu ujrzeć. Nie dostrzegła niczego prócz kręgu grubych pni i widocznych za nimi zboczy. Czyżby zabójca powlókł się dalej, śmiertelnie raniony w starciu? Nie spostrzegła żadnych śladów krwi.

Zdziwiona, spojrzała między otaczające ją drzewa i zdrętwiała pochwy- ciwszy uchem cichy szmer wśród gęstego listowia. Niepewnie ruszyła ku drzewom zaglądając w cień rzucany przez ich gęste korony.

- Conan? - zawołała trwożliwie; jej głos zabrzmiał dziwnie słabo wśród zalegającej wokół ciszy.

Nie słysząc odpowiedzi poczuła, że uginają się pod nią nogi i strach ścis- ska ją za gardło.

- Conanie! - krzyknęła rozpaczliwie. - To ja... Sancha! Gdzie jesteś? Pro- szę cię, Conanie...

Nagle umilkła i szeroko otworzyła oczy z przerażenia. Jej pełne wargi rozchyliły się w nieartykułowanym okrzyku. Sparaliżowana lękiem nie była w stanie uczynić nawet kroku, mimo że rozpaczliwie pragnęła uciec jak najdalej z tego okropnego miejsca. Zielone listowie stłumiło jej belko-

tlivy krzyk.

Kiedy Conan zobaczył, jak Zaporavo rusza samotnie w głąb wyspy, zrozumiał, że nadeszła chwila, na którą czekał. Cymmerianin nie jadł złocistych owoców i nie uczestniczył w rubasznych zabawach swoich towarzyszy; pochłonięty był śledzeniem poczynań kapitana. Przyzwyczajeni do humorów dowódcy, piraci nie byli specjalnie zdziwieni tym, że ich kapitan chce samotnie zwiedzać niezbadaną i być może zamieszkaną przez wrogich tubylców wyspę. Zajęci swoimi sprawami nie zauważyli Conana, który cicho jak kot ruszył za Zaporavo.

Conan doceniał wpływ, jaki miał na załogę, ale wiedział, że jeszcze nie wykazał się w bitwie i nie mógł otwarcie wyzwać kapitana na pojedynek. Te nieuczęszczane wody nie dawały mu okazji udowodnienia swoich możliwości wedle prawa korsarzy. Gdyby otwarcie zaatakował kapitana, załoga stanęłaby przeciw niemu jak jeden mąż. Wiedział jednak, że jeśli cichcem zabije Zaporavo, pozbawiona przywódcy załoga nie da się ponieść poczuciu lojalności dla martwego kapitana. W tym wilczym stadle liczył się tylko ten, kto przeżył.

Tak więc poszedł za Zaporavo z mieczem w dłoni i żądzą krwi w sercu, aż wyszedł na małą polankę otoczoną wysokimi drzewami, między którymi widział zielone zbocza pagórków ciągnących się aż po horyzont. Zaporavo wyczuwając, że jest śledzony, odwrócił się i chwycił za rękojeść mie-

Cza.

- Czemu mnie śledzisz, psie? - warknął pirat.

- Czyżbyś oszalał, że o to pytasz? - zaśmiał się Conan, podchodząc do swego chwilowego dowódcy. Na wargach barbarzyńcy pojawił się uśmiech, a w niebieskich oczach zapalił się groźny błysk.

Zaporavo z przekleństwem wyszarpnął miecz z pochwy i szczyknęła stal, gdy Barachańczyk ze świstem opuścił swoje ostrze, atakując zuchwale i nie dbając o osłonę.

Zaporavo był weteranem tysiąca potyczek na morzu i lądzie. Nie było człowieka, który miałby większe doświadczenie i umiejętności w sztuce fechtunku. Jednak nigdy jeszcze nie odbijał ciosów zadawanych przez tak mocarne ramiona syna lodowych pustkowi wychowanego z dala od ostatnich przyczółków cywilizacji. Musiał zmobilizować całą swoją zręczność, by stawić czoła nieprawdopodobnej szybkości i niewyobrażalnej sile Cymmerianina. Conan walczył w sposób zupełnie niekonwencjonalny, kierując się bardziej instynktem niż jakimś przemyślanym planem ataku i obrony. Wyszukane sztuczki techniczne były równie bezużyteczne przeciw jego wściekłym ciosom co umiejętności bokserskie przy spotkaniu z wygłodzonym tygrysem.

Zaporavo walczył jak jeszcze nigdy dotąd, wyteżając wszystkie siły by odbić błyszczące ostrze, które raz po raz zmierzało ku jego głowie, jednak w końcu kolejny cios niemal go dosięgnął. Pirat rozpaczliwie zasłonił się mieczem, przyjmując uderzenie na klingę tuż przy rękoności. Całe ramię

zdrętwiało mu od potwornego ciosu i nie zdążył się zastawić przed następnym pchnięciem zadany z taką mocą, że ostrze przebiło kolczugę i żebra jak papier i trafiło w serce. Wargi Zaporavo wykrzywił grymas bólu, lecz posepny kapitan nawet w chwili śmierci pozostał wierny swej naturze. Bez jęku osunął się na zdeptaną murawę, na której krople krwi zabłyśły w słońcu niczym małe rubiny.

Conan otarł zbroczony miecz, uśmiechnął się z nieskrywanym zadowoleniem i przeciągnął się jak wielki kot... lecz nagle zesztyniał i w oczach pojawiło mu się zdumienie. Stał nieruchomo jak posąg, trzymając w dło-

ni opuszczony miecz.

Oderwawszy wzrok od powalonego wroga, spojrzął mimochodem na krąg otaczających go drzew i widoczne za nimi zbocza. Nagle dostrzegł coś dziwnego i niewytłumaczalnego. Za łagodnym, zielonym wierzchołkiem odległego stoku spostrzegł wysoką, czarną postać, niosącą na ramieniu coś białego. Postać zniknęła równie nagle jak się pojawiła, zostawiając głęboko zdumionego Cymmerianina.

Pirat rozejrzał się wokół, spojrzął niepewnie za siebie i zaklął. Był zakłopotany i trochę zaniepokojony - jeśli można tak powiedzieć o kimś, kto posiada stalowe nerwy. Wśród tego całkiem realnego, chociaż egzotycznego otoczenia zobaczył coś jakby żywcem wzięte z koszmarnego snu.

Conan nigdy nie wątpił w swoje zdrowe zmysły i wierzył własnym oczom. Wiedział, że widział coś przedziwnego i niesamowitego; już sam fakt, że jakaś naga, czarna postać biegła po wyspie niosąc na ramieniu białego jeńca, był dość niezwykły, ale w dodatku postać ta była nienatu-

ralnie wysoka.

Potrząsnąwszy z niedowierzaniem głową, Conan ruszył w kierunku miejsca, gdzie przed chwilą zniknęła zjawa. Nie zastanawiał się, czy postępuje roztropnie; był tak zaciekawiony, że po prostu musiał to zrobić.

Przemierzył kilka kolejnych pagórków, porośniętych bujną trawą i kępami drzew. Cały czas podążał w górę, chociaż z monotonną regularnością wchodził na łagodne zbocza i schodził z nich. Szeregi łagodnych wzgórków zdawały się nie mieć końca. Jednak wreszcie osiągnął punkt, który - jak osądził - był najwyższym wzniesieniem na wyspie i stanął jak wryty widząc zielone, błyszczące mury i wieże, które zanim dotarł na szczyt wzgórza tak doskonale wtapiały się w krajobraz, że były niewidoczne nawet dla jego orlich oczu.

Zawahał się, odruchowo próbując kciukiem ostrza swego miecza, po czym ruszył dalej gnany ciekawością. Wolno podszedł do wysokiej, pozabawionej odrzwi bramy. Wokół nie było nikogo. Zajrzawszy ostrożnie do środka ujrzał rozległy plac, najwidoczniej dziedziniec, porośnięty trawą i otoczony murem z jakiejś zielonej, półprzeźroczystej substancji. W murze zauważył szereg lukowatych przejść. Conan podszedł na palcach do jednego z nich i przeszedłszy na drugą stronę znalazł się na innym, podobnym dziedzińcu. Nad otaczającym go murem dostrzegł dachy dziwnych podobnych do wież budowli. Jedna z tych wieżyczek przylegała do dziedzińca, na którym stał. Wiodły do niej szerokie schody biegnące przy murze. Wszedł na nie, zastanawiając się, czy to wszystko dzieje się

naprawdę, a nie jest tylko wytworem zamroczonej oparami czarnego lotosu wyobraźni.

Na szczycie schodów znalazł wąską półkę zabezpieczoną murkiem, czy też raczej rodzaj balkonu. Mógł teraz dobrze przyjrzeć się wieżom, ale niewiele mu to dało. Z niepokojem uświadomił sobie, że te budowle nie zostały zbudowane przez ludzi. Architektura ta cechowała się jakąś symetrią i równowagą, ale była to zwariowana symetria, równowaga obca umysłowi człowieka. Spoglądając z góry Conan widział całe to miasto, twierdzę, czy cokolwiek miało to być, na tyle, że dostrzegł znaczną liczbę dziedzińców, przeważnie owalnych, otoczonych osobnymi murami i połączonych z innymi otwartymi przejściami i zgrupowanych wokół stojących w środku wież o fantastycznych kształtach.

Odwróciwszy się i spojrzawszy w innym kierunku Conan doznał szoku, błyskawicznie przykucnął za balustradą balkonu, spozierając ze zdumieniem na rozgrywającą się niżej scenę.

Balkon czy też półka, na której stał, znajdowała się wyżej niż krawędź przeciwległego muru, tak że bez trudu mógł widzieć rozpościerający się za nim kolejny pokryty murawa dziedziniec. Wewnętrzna płaszczyzna tego muru różniła się od innych tym, że nie była gładka lecz poznaczona długimi liniami wyżłobionych w niej półek zastawionych setkami małych przedmiotów, których z tej odległości barbarzyńca nie mógł zidentyfikować.

Jednak w tej chwili nie poświęcił im wiele uwagi. Całą uwagę skupił na grupie postaci, które siedziały wokół sadzawki o ciemnozielonej wodzie,

na środku dziedzińca. Stworzenia te były czarnoskóre i nagie podobne do ludzi ale nawet najmniejszy z nich o dwie głowy przewyższał olbrzymiego barbarzyńcę. Giganci byli raczej smukli, ale dobrze zbudowani i oprócz niezwykle wysokiego wzrostu trudno było dopatrzeć się w nich jakichś anomalii. Jednak nawet z tak znacznej odległości Conan dostrzegł diaboliczne rysy ich twarzy.

Wśród nich, nagi i skulony ze strachu, stał młodzik, w którym Cymmerianin rozpoznał najmłodszego marynarza z załogi "Wastreła". Zatem to on był jeńcem, którego niosła na ramieniu dostrzeżona na zboczu postać Conan nie dostrzegł żadnych śladów walki - żadnych śladów krwi czy ran na smukłych, hebanowych ciałach gigantów. Najwidoczniej chłopak odłączył się od swoich towarzyszy i został porwany przez zaczajonego w głębi lądu czarnego. Conan w myślach nazwał te stworzenia czarnymi z braku lepszego terminu, instynktownie wiedział że te wysokie, czarnoskóre istoty nie były ludźmi w jego rozumieniu tego słowa

Z dziedzińca nie dochodził żaden głos. Czarni gestykulowali i kiwali głowami, ale wydawało się że nie potrafią mówić - a przynajmniej nie głośno. Jeden, przykucnąwszy na piętach przed zatrwożonym chłopcem, trzymał w ręku coś na kształt rurki. Przyłożył ją do warg i prawdopodobnie dmuchnął w nią, chociaż Cymmerianin nie usłyszał żadnego dźwięku. Jednak zingarański młodzieniec usłyszał to lub poczuł bo skulił się jeszcze bardziej. Trząsł się i wił jak w agonii, po chwili kurczowe ruchy jego rąk i nóg stały się bardziej regularne, a potem rytmiczne. Dygotanie przeszło w gwałtowne podrygi, podrygi w regularne ruchy. Chło-

pak zaczął tańczyć, niczym kobra zniewolona melodią płynącą z fletni fakira. W tańcu tym nie było odrobiny życia czy radosnego zapamiętania. Istotnie, było w tym tańcu okropne zapamiętanie, ale nie mające w sobie nic radosnego. Wydawało się, że niedosłyszalna melodia piszczałki dotykała lubieżnymi palcami najgłębszych zakątków duszy chłopca i brutalną torturą wydzierła z niej mimowolne wyznanie najskrytszych uczuć. Obsceniczne konwulsje spazmy żądzzy - wyznania najtajniejszych pragnień wydarte przemocą: pożądanie bez przyjemności, ból straszliwie złączony z żądzą. Conanowi wydawało się, że jest świadkiem obnażania duszy i wyciągania na światło dzienne wszystkich ludzkich, starannie skrywanych sekretów.

Spoglądał na to szeroko otwartymi oczami, zdjęty odrazą i wstrząsany mdłościami. Mimo że z natury równie wolny od wyuzdania jak leśny wilk, zetknął się już z perwersyjnymi sekretami podupadających cywilizacji. Był w miastach Zamory i znał kobiety Shadizaru, Miasta Łajdaków. Jednak wyczuwał w tym jakieś potworne zło przewyższające to czynione przez ludzkich degeneratów - widział tu jakąś wynaturzoną gałąź z Drzewa Życia, która rozwinęła się w kierunku przekraczającym ludzkie możliwości zrozumienia. Nie szokowały go konwulsyjne podrygi i pozy dręczonego chłopaka, lecz potworne wynaturzenie jego dręczycieli, którzy wywlekali na światło dzienne okropne tajemnice drzemiące w niezgłębionych zakamarkach ludzkiej duszy i znajdowali przyjemność w bezwstydnym przyglądaniu się rzeczom, których człowiek nie ogląda

nawet w najgorszych koszmarach.

Nagle czarnoskóry dręczyciel odłożył piszczalę i wstał, spoglądając z wysoka na wijącą się, białą postać. Brutalnie chwycił chłopca za kark i krzyże, gigant obrócił go w powietrzu i wrzucił głową naprzód w zieloną sadzawkę. Conan dostrzegł błysk białego ciała w szmaragdowej wodzie, gdy olbrzym przytrzymał nagiego chłopca pod powierzchnią. Pozostali czarni zaczęli się podnosić i Conan szybko schował się za balustradą balkonu, nie ośmielając się wystawić głowy z obawy, że zostanie

wykryty.

Po chwili jednak ciekawość przewyciężyła rozwagę i znów zerknął na dół. Czarni właśnie przechodzili na inny dziedziniec. Jeden z nich postawił coś na półce przy przeciwległej ścianie i Conan poznał w nim tego, który torturował chłopaka. Ten czarny był wyższy od innych i nosił na głowie wysadzaną klejnotami opaskę. Nigdzie nie było widać śladu zingarańskiego chłopca. Gigant ruszył za innymi i po chwili Conan zobaczył, jak wszyscy wychodzą z miasta przez bramę, którą on się tu dostał, i ruszają zielonym zboczem w kierunku, z którego tu przybył. Nie byli uzbrojeni, ale czuł, że zamierzali napaść na jego towarzyszy.

Jednak zanim podąży, by ostrzec niczego nie podejrzewających bukanierów, chciał ustalić, jaki los spotkał chłopca. Żaden dźwięk nie zakłócił panującej wokół ciszy. Pirat był przekonany, że oprócz niego w wieżach i na dziedzińcach nie było nikogo.

Spiesznie zszedł schodami, przeszedł przez dziedziniec i przejście w murze na następny podwórzec, który czarni tylko co opuścili. Teraz mógł dobrze przyjrzeć się poznaczonym półkami ścianie. Na wykutych w kamieniu, wąskich półkach stały tysiące maleńkich figurek, przeważnie szarego koloru. Te posążki, niewiele większe od ludzkiej dłoni, przedstawiały ludzi i były tak znakomicie odrobione, że Conan mógł rozróżnić charakterystyczne cechy różnych ras ludzkich: typowe postacie zingarańskich, argosańskich, ophirejskich i kusnickich korsarzy. Ci ostatni mieli czarną barwę - taką, jaką miała ich skóra. Patrząc na nieruchome,

nieme posąжки, Conan czuł dziwny niepokój spowodowany ich ludzłym podobieństwem do żywych ludzi. Dotknął jednego, ale nie zdołał stwierdzić, z jakiego materiału zostały wykonane. W dotyku figurka zdawała się być zrobiona z wysuszonej kości - jednak barbarzyńca nie był w stanie uwierzyć, że gdzieś na wyspie mogą się znajdować tak obfite zasoby suchych kości, by czarni mogli używać ich tak beztrąsko.

Zauważył, że posąжки przedstawiające znane mu rasy ludzkie znajdują się na najwyższych półkach. Na niższych stały figurki, których rysy były mu zupełnie obce. Może reprezentowały wybryki wyobraźni artysty, a może przedstawiciele dawno wymarłych i zapomnianych ludów.

Niecierpliwie potrząsnąwszy głową, Conan ruszył do sadzawki. Owalny dziedziniec nie dawał żadnych możliwości ukrycia czegokolwiek; skoro nigdzie nie było widać ciała chłopca, musiało ono leżeć na dnie sadzaw-

ki.

Podchodząc do szmaragdowozielonej toni, wpatrywał się w jej błyszczącą powierzchnię. Zdało mu się, że patrzy przez grube, zielone szkło - przejrzyste lecz dziwnie ludzające. Sadszawka była niewielka i okrągła jak studnia, otoczona kręgiem z zielonego nefrytu. Spoglądając w toń, dostrzegł dno - nie potrafił powiedzieć jak głęboko w dole. Jednak sadszawka zdawała się być niezwykle głęboka - patrząc w dół poczuł lekki zawrót głowy, jakby spoglądał w przepaść. Zdumiało go to, że mógł dostrzec dno; jednak widział je wyraźnie - niemożliwie odległe, niewyraźne, ludzające, lecz widoczne. Chwilami wydawało mu się, że w szmaragdowej głębi dostrzega słabe błyski, ale nie miał co do tego pewności. Był jednak pewien, że oprócz wody w sadszawce nie ma niczego.

Zatem gdzie, na Croma, podział się chłopiec, którego na jego oczach brutalnie utopiono w sadszawce? Conan wyprostował się, mocniej ujął miecz i jeszcze raz rozejrzał się po dziedzińcu. Nagle spojrzenie jego padło na jedną z najwyższych półek. Zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy przypomniał sobie, że właśnie tam czarny gigant kładł coś przed odejściem. Niechętnie, lecz jak przyciągany magnetyczną siłą, pirat podszedł do błyszczącej ściany. Obezwładniony podejrzeniem zbyt potwornym by je wyrazić słowami, spojrzał na figurkę stojącą na końcu szeregu. Straszliwe podobieństwo mówiło samo za siebie. Skamieniały, nieruchomy i skarłaty stał przed nim zingarański chłopiec patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Conan wzdrygnął się, wstrząśnięty do głębi. Uzbro-

*jona w miecz ręka opadła mu bezwładnie, rozdziawił usta i wybałuszył
oczy, oszołomiony odkryciem zbyt strasznym by mógł je ogarnąć ludzki
umysł.*

*Jednak rzecz nie ulegała wątpliwości: oto odkrył tajemnicę małych po-
sążków, chociaż w ten sposób stanął przed jeszcze większą i daleko bar-
dziej złowieszczą zagadką ich istnienia.*

Conan nie miał pojęcia, jak długo stał zatopiony w ponurych rozważaniach. Z zadumy wytrącił go czyjś głos; kobiecy głos krzyczący coraz głośniej i głośniej, jakby jego właścicielka coraz bardziej się zbliżała. Cymmerianin rozpoznał ten głos i natychmiast otrząsnął się z bezwładu. Jednym susem wskoczył na najwyższą półkę i przywarł do ściany, kopnięciem rozrzucając stojące tam posążki, aby uzyskać oparcie dla stóp. Następny podskok, chwyt i już był na szczycie muru. Spojrzał na drugą stronę - zobaczył zieloną łękę otaczającą miasto.

Przez trawiastą równinę kroczył czarny gigant, niosąc pod pachą wijącą się brankę jak ojciec może nieść niegrzeczne dziecko. Conan rozpoznał Sanchezę; czarne pukle włosów rozsypały się jej w nieładzie, a mleczna skóra kontrastowała z hebanowoczarным ciałem prześladowcy. Ten nie zwracał uwagi na jej szamotanie i krzyki, zmierzając prosto ku bramie.

Kiedy w nią wszedł, Conan śmiało zeskoczył z muru i skoczył w przejście wiodące na następny dziedziniec. Przyczajony tam, zobaczył, jak gigant wchodzi na podwórzec z sadzawką, niosąc wrywającą się rozpaczliwie brankę. Mógł teraz bliżej przyjrzeć się czarnoskóremu.

Z bliska wspaniała symetria ciała i kończyn robiła większe wrażenie.

Pod hebanową skórą grały węzły masywnych, grubych mięśni i Conan nie wątpił, że olbrzym mógłby rozerwać na sztuki każdego zwykłego śmiertelnika. Paznokcie czarnego stanowiły groźną broń, bowiem były długie i ostre jak pazury dzikiej bestii. Twarz olbrzyma była nieprzenik-

*niona niczym maska wyrzeźbiona z hebanu, a oczy złotobrzowe, nieru-
chome i błyszczące - jednak nie była to twarz człowieka. Każdy jej rys
znamionował zło - i to zło przekraczające ludzkie pojęcie. Ten stwór nie
był człowiekiem, nie mógł nim być; był wytworem najprzepastniejszych
otchłani stworzenia - wybrykiem ewolucji.*

*Gigant cisnął Sanchę na murawę, do której przywarła płacząc z bólu i
przerażenia. Rozejrzał się wokół jakby czegoś szukając i jego złotobrz-
zowe oczy zwęziły się, gdy ich spojrzenie padło na strącone z półki i po-
wywracane posążki. Pochylił się, chwycił dziewczynę za kark i udo, i ru-
szył wolno w kierunku sadzawki. Conan cicho wyszedł z przejścia i po-
mknął jak wiatr przez dziedziniec.*

*Gigant odwrócił się i w jego oczach zapalił się groźny błysk, gdy ujrzał
pędzącego ku niemu mściciela. Zaskoczony, rozluźnił chwyt i Sancha zdo-
łała wyrwać się z okrutnego uścisku. Uzbrojone w pazury dłonie wycią-
gnęły się ku barbarzyńcy, ale Conan uchylił się zręcznie i wbił miecz w
pachwinę giganta. Czarny runął jak zrąbany dąb, brocząc krwią, i w na-
stępnej chwili Conan znalazł się w obezwładniającym uścisku oszalałej z
przerażenia i bliskiej hysterii dziewczyny.*

*Cymmerianin zaklął i wyrwał się z objęć, ale jego wróg już nie żył; złot-
brzowe oczy zamglily się, a hebanowe ciało przestało się prężyć.*

*- Och, Conanie - załkała Sancha, ponownie doń przywierając - co z
nami będzie? - Co to za potwory? Och, z pewnością jesteśmy w piekle i to
był sam diabeł...*

- Wobec tego piekła będzie potrzebny nowy diabeł - uśmiechnął

się Barachańczyk. - Ale jak zdołał cię schwytać? Czyżby zdobyli

okręt?

- Tego nie wiem - odparła, chcąc otrzeć łzy rąbkiem tuniki i stwierdzając,

że nie ma jej na sobie. - Zeszłam na brzeg. Widziałam, jak poszedłeś za

Zaporavo i ruszyłam za wami. Znalazłam Zaporavo... czy... czy to ty go..

?

- A któżby? - mruknął. - I co dalej?

- Zobaczyłam, że coś się rusza wśród drzew – rzekła z drżeniem. - My-

ślałam, że to ty. Zawołałam... a potem zobaczyłam to... to czarne siedzące

jak małpa wśród gałęzi, śmiejące się do mnie szyderczo. To było niczym

zły sen; nie byłam w stanie zrobić kroku. Mogłam tylko wrzeszczeć. Wte-

dy to spuściło się z drzewa i złapało mnie... Och, to było okropne!

Ukryła twarz w dłoniach, znów wstrząśnięta na samo wspomnienie tej

okropnej chwili.

- No, musimy się stąd wydostać - warknął, chwytając ją za rękę. - Chodź, musimy ostrzec załogę...

- Kiedy wchodziłam do lasu większość z nich spała na plaży - powiedziała dziewczyna.

- Spała? - wykrzyknął z niedowierzaniem. - Jak na siedmiu diabłów, piekielne ognie i potępienie...

- Słuchaj! - przerwała mu dziewczyna, zamierając ze strachu jak biały posąg uosabiający przerażenie.

- Słyszałem! - przerwał jej. - Zduszony krzyk! Zaczekaj tu!

Znów wskoczył na półki i zerknąwszy na drugą stronę muru zaklął tak wściekle, że nawet przyzwyczajona do tego Sancha rozdziawiła usta.

Czarni wracali, ale nie z pustymi rękami. Każdy niósł bezwładne ludzkie ciało; niektórzy nieśli po dwa. Ich jeńcami byli korsarze; wisieli luźno w uścisku potężnych ramion i gdyby nie sporadyczne ruchy rąk i nóg Conan sądziłby, że są martwi. Byli rozbrojeni, ale nie odarci z szat; jeden z gigantów niósł ich miecze - całe naręcze błyszczącej stali. Od czasu do czasu któryś z marynarzy wydawał słaby okrzyk, jak pijak mówiący coś

przez sen.

Conan rozejrzał się wokół jak schwytyany w pułapkę wilk. Z dziedzińca można było wyjść w trzech różnych kierunkach. Wschodnim przejściem odeszli czarni i zapewne przez nie powrócą. On przyszedł południowym przejściem. Za zachodnim ukrywał się poprzednio i nie miał czasu sprawdzić, co się dalej znajduje. Niezależnie od swej nieznajomości terenu musiał szybko podjąć właściwą decyzję.

*Zeskoczył na dół i w gorączkowym pośpiechu poustawiał figurki na swoich miejscach, zaciągnął trupa do sadzawki i wrzucił go w nią. Ciało opa-
dło wolno w dół i patrząc na to Conan dostrzegł odrażającą przemianę -
kurczenie się, kamienienie. Z dreszczem zgrozy odwrócił się pospiesznie,
złapał swoją towarzyszkę za rękę i pociągnął ją za sobą w kierunku poł-
udniowego przejścia. Sancha błagała, by powiedział jej, co się dzieje.*

*- Zgarnęli załogę - odparł pospiesznie. - Nie mam jeszcze żadnego
planu; ukryjemy się gdzieś w pobliżu i zobaczymy, co się stanie. Jeżeli
nie zajrzą do sadzawki, mogą nie wykryć naszej obecności.*

- Przecież zobaczą krew na trawie!

*- Może pomyślą, że rozlał ją jeden z nich - odrzekł. - W każdym razie mu-
simy zaryzykować.*

*Byli na dziedzińcu, z którego Conan przyglądał się torturowaniu chłop-
ca. Szybko wszedł z dziewczyną po schodach na południowy mur i zmusił
ją, by schowała się za balustradą balkonu; kiepska była to kryjówka, ale
najlepsza jaką zdołali znaleźć.*

Zaledwie zdążyli się ukryć, kiedy czarni weszli na dziedziniec. U podnóża schodów rozległ się przeraźliwy łoskot i szczęk, i Conan zesztyniał chwytając za rękojeść miecza, ale czarni przeszli za południowo-zachodni mur i po chwili dały się słyszeć głuchoe odgłosy i jęki, gdy zrzucali swych jeńców na murawę. Usta Sanchy rozchyliły się w histerycznym chichocie, ale Conan szybko zakrył jej usta dłonią tłumiąc dźwięk, który mógł ich zdradzić.

Po chwili usłyszeli na dole tupot wielu nóg, a później znów zapadła cisza. Conan wyjrzał z za balustrady. Dziedziniec był pusty. Czarni ponownie zebrali się wokół sadzawki, siadając na podwiniętych nogach. Zdawali się nie zwracać uwagi na ślady krwi na trawie i obrzeżu sadzawki. Widać ślady krwi nie były dla nich czymś niezwykłym. Nie zaglądali też do sadzawki. Byli pogrążeni w jakimś swoim, zagadkowym rytuale; najwyższy z nich znów grał na swojej piszczałce, a pozostali słuchali trwając w bezruchu jak hebanowe posągi.

Wziąwszy Sanchę za rękę, Conan cicho zszedł po schodach, pochylając się nisko, tak by jego głowa nie wystawała ponad mur. Kuląca się dziewczyna poszła za jego przykładem, spoglądając lękliwie w głąb przejścia, które prowadziło na dziedziniec z sadzawką, chociaż patrząc pod tym kątem nie widziała ani sadzawki, ani stojących tam postaci. U stóp schodów leżały miecze Zingarańczyków. Szczęk, który dał się słyszeć przed chwilą, był wywołany przez to niedbale rzucone na ziemię żelastwo.

Conan pociągnął Sanchę ku południowo-zachodniemu przejściu. Cicho przemknęli na drugą stronę i wyszli na inny dziedziniec. Tam znaleźli

schwytanych przez gigantów korsarzy. Leżeli bezwładnie na murawie i tylko od czasu do czasu któryś poruszył się niespokojnie lub jęknął. Conan pochylił się nad nimi, a Sancha klękła obok, opierając ręce na udach i nachylając się bliżej.

- Co to za słodkawy zapach? - spytała niespokojnie. – Ich oddechy są nim

przesycone.

- To te przeklęte owoce, które jedli - odparł cicho. - Pamiętam ten zapach. Te owoce muszą mieć taki sam skutek jak czarny lotos, który usypia ludzi. Na Croma, zaczynają się budzić - ale nie mają broni, a mam wrażenie, że te czarne diabły niedługo się za nich wezmą. Jakie szansę mają ci biedacy, bezbronni i ogłupiali od snu?

Na chwilę pogrążył się w ponurym milczeniu, marszcząc brwi w głębokim namyśle; później złapał Sanchę za ramię i ścisnął tak, że skrzywiła się z bólu.

- Słuchaj! Odciągnę te czarne śwynie w inną część zamku i zajmę ich przez jakiś czas. Wtedy ty obudzisz tych głupców i przyniesiesz im miecze... w ten sposób będą mieli jakąś szansę. Możesz to zrobić?

- Ja... nie wiem! - wyjąkała, trzęsąc się z przerażenia i sama nie wiedząc co mówi.

Conan z przekleństwem chwycił ją za gęste pukle i potrząsnął nią, aż świat zawirował jej przed oczami.

- Musisz to zrobić! - syknął. - To nasza jedyna szansa!

- Zrobię, co będę mogła! - jęknęła dziewczyna, co barbarzyńca skwitował dodającym otuchy klepnięciem po plecach, które niemal ją wywróciło, i zniknął za rogiem.

Kilka chwil później czaił się w przejściu prowadzącym na dziedziniec z sadzawką i spoglądał na nieprzyjaciół. Wciąż siedzieli wokół sadzawki, ale zaczęli już wykazywać oznaki zniecierpliwienia. Z dziedzińca, na

którym leżeli bukanierzy, słyszał ich coraz głośniejsze jęki, coraz częściej mieszające się z bezładnymi przekleństwami. Conan napiął mięśnie i przyczaił się do skoku, nabierając tchu w piersi.

Gigant noszący wysadzaną klejnotami opaskę podniósł się odrywając piszczalkę od warg - i w tejże chwili Conan jednym tygrysim skokiem znalazł się wśród zaskoczonych wrogów. I tak jak tygrys skacze i uderza swe ofiary, tak Conan skoczył i uderzył; jego miecz błysnął trzykrotnie zanim którykolwiek z olbrzymów zdołał choćby podnieść ramię; później odskoczył z powrotem i pognał jak szalony przez zieloną murawę. Za nim zostały trzy czarne ciała z rozplatanymi czaszkami.

Jednak mimo że ten wściekły i niespodziewany atak zaskoczył gigantów, szybko otrząsnęli się z bezruchu. Deptali mu po piętach, gdy gnał ku zachodniemu przejściu, a długie nogi niosły ich z niebywałą szybkością.

Jednak Conan był przekonany, że z łatwością mógłby im umknąć - lecz nie o to mu chodziło. Zamierzał odciągnąć ich na dłuższą chwilę od Zingarańczyków, dając tym ostatnim czas na otrząśnięcie się ze snu i uzbrojenie się w miecze przyniesione przez Sanchę. Wypadł na dziedziniec za zachodnim przejściem i zaklął wściekle. To podwórze różniło się od innych. Nie było owalne, lecz ośmiokątne, a przejście, przez które przebiegł, było jedynym wejściem i wyjściem.

Obrócił się na pięcie i zobaczył, że wszyscy giganci ruszyli za nim w pościg; część kłębiła się teraz w przejściu, a reszta zbliżała się ku niemu rozciągniętym szeregiem. Conan cofał się wolno pod północną ścianę, nie odwracając głowy od nadchodzących. Szereg zmienił się w półokrąg -

czarni próbowali otoczyć go ciasnym pierścieniem, ale musieli rozciągnąć szyki, żeby im się nie wymknął. Conan nadal się cofał, ale coraz wolniej i wolniej, szukając luki w rozciągniętym szeregu nieprzyjaciół. Obawiając się, że barbarzyńca szybkim skokiem wymknie się z zaciskającego się pierścienia, giganci jeszcze bardziej rozciągnęli szyk, aby temu

zapobiec.

Cymmerianin przyglądał się temu z zimnym wyrachowaniem drapieżcy i kiedy uderzył, uczynił to z niszczącą gwałtownością gromu - w sam środek zaciskającego się półksiężyca. Gigant, który zastąpił mu drogę, padł z rozciętym barkiem i zanim czarni z prawa i lewa zdolali przyjść na pomoc powalonemu kompanowi, pirat wyrwał się z potrzasku. Grupa zebranych przy przejściu przygotowała się do odparcia jego szarży, ale Conan nie zaatakował ich. Zamiast tego odwrócił się i stanął spoglądając na przeciwników bez specjalnego wzruszenia, a z pewnością bez strachu. Tym razem nie rozciągnęli się w długi szereg. Przekonali się już, że rozdzielanie sił w starciu z tym szaleńczo odważnym przeciwnikiem może przynieść jak najgorsze skutki. Zbili się w zwartą grupę i ruszyli ku niemu bez nadmiernego pośpiechu, zacieśniając szyk.

Conan wiedział, że spotkanie z taką gromadą potężnie umięśnionych i uzbrojonych w pazury przeciwników może skończyć się tylko w jeden sposób. Jeżeli tylko pozwoli im zbliżyć się na tyle, by mogli dosięgnąć go swymi pazurami i użyć swojej ogromnej przewagi liczebnej, to nie pomoże mu cały jego spryt i ogromna siła. Zerknął na mur i w zachodnim narożniku dostrzegł jakby półkę, czy rodzaj występu. Nie wiedział, co to jest, ale mogło to wystarczyć do zrealizowania pomysłu. Zaczął cofać się w kierunku narożnika i giganci widząc to przyspieszyli kroku. Widocznie wydawało im się, że to oni zagonili go w kąt i Conan doszedł do wniosku, że musieli uważać go za istotę o znacznie niższej inteligencji. Tym lepiej.

Nie ma nic gorszego od niedoceniania przeciwnika.

Teraz znalazł się już tylko kilka jardów od ściany i czarni zbliżali się coraz szybciej, wyraźnie chcąc przyprzeć go do muru zanim zda sobie sprawę z sytuacji. Grupa stojąca dotychczas przy przejściu opuściła swój posterunek i pospiesznie ruszyła, by przyłączyć się do reszty towarzyszy.

Giganci zbliżali się błyskając wyszczerzonymi zębami, sypiąc skry z żółtawo płonących oczu i wyciągając szponiaste ręce jakby próbując odeprzeć ewentualny atak. Spodziewali się nagłego i gwałtownego ruchu ze strony swej ofiary, lecz mimo to dali się zaskoczyć.

Conan wzniosł miecz, zrobił krok w kierunku napastników, po czym okręcił się na pięcie i pognął do narożnika. Energicznym ruchem odbił się od ziemi i skoczywszy wysoko w powietrze zacisnął palce na krawędzi półki. Dał się słyszeć głuchy trzask i cały występ runął w dół razem z pi-

ratem.

Conan spadł na plecy i gdyby nie miękka murawa porastająca dziedziniec złamałby sobie kark mimo chroniących go, grubych węzłów mięśni. Odbił się od ziemi i skoczył na nogi niczym wielki kot, aby stawić czoła wrogom. Z jego oczu zniknął lekceważący błysk; zapalił się w nich zło-wrogi płomień. Wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu. W jednej chwili zuchwała gra zmieniła się w walkę na śmierć i życie, a w takich chwilach Cymmerianin zachowywał się tak, jak kazała mu barbarzyńska natura. Czarni, przez moment zbici z tropu nagłością wydarzeń, rzucili się na niego chcąc zmiażdżyć go przewagą liczebną. Jednak w tej samej chwili rozległ się głośny krzyk i zaskoczeni giganci ujrzeli tłum piratów wlewa-jący się przez przejście na dziedziniec. Bukanierzy zataczali się jeszcze i wydawali nieartykułowane okrzyki, byli zamroczeni i zaskoczeni, ale ściskali swe miecze i wymachiwali nimi z zawziętością nie osłabioną by- najmniej faktem, że nie mieli zielonego pojęcia, o co chodzi. Gdy czarni giganci spojrzeli po sobie ze zdumieniem, Conan zawył prze-rażliwie i wpadł na nich jak grom z jasnego nieba. Pod ciosami jego mie-cza padali jak ścięte kosą snopy i widząc to Zingarańczycy wrzasnęli wniebogłosy, przebiegli chwiejnie przez dziedziniec i wpadli na nieprzy- jaciół niczym zgraja żądnych krwi wilków. Wciąż byli oszołomieni; bu- dząc się z narkotycznego snu ujrzeli potrzęsającą nimi Sanchę, która wciskała im oręż w dłonie i nalegała, by coś zrobili. Wprawdzie nie ro- zumieli, o co jej chodzi, ale widok obcych i przelewanej krwi zupełnie im

wystarczył.

*W jednej chwili dziedziniec zmienił się w regularne pole bitwy, które szybko zaczęło przypominać rzeźnię. Zingarańczycy zataczali się i chwia-
li na nogach, ale wymachiwali mieczami równie żywo i zaciekle co zaw-
sze, klnąc wściekle i zupełnie nie zważając na wszelkie rany oprócz
śmiertelnych. Mieli znaczną przewagę liczebną nad gigantami, którzy
jednak okazali się niełatwym przeciwnikiem. Znacznie przewyższając
korsarzy wzrostem, szerzyli wśród nich spustoszenie szarpiąc uzbrojo-
nymi w pazury rękami, rozdzierając gardła i rozbijając czaszki ciosami
zaciśniętych pięści. W powszechnym zamieszaniu i zamęcie bitwy buka-
nierzy nie byli w stanie wykorzystać swojej przewagi, a wielu było jesz-
cze zbyt oszołomionych, by uchylać się przed wymierzonymi w nich cio-
sami. Walczyli z zaciekłością dzikich bestii, zbyt pochłonięci zadawaniem
śmiertelnych ciosów, by się przed nimi uchylać. Odgłos spadających
ostrzy przypominał dźwięki rzeźniczego tasaka, a wrzaski, wycia i prze-
kleństwa wzbudziłyby odrazę w każdym cywilizowanym człowieku.
Przyczajoną w przejściu Sanchez oszołomił cały ten zgiełk i hałas; nie-
pewnie spoglądała na bitewny zamęt, w którym stalowe ostrza błyskały i
opadały ze świstem, śmigały pięści, wykrzywione nienawiścią twarze po-
jawiały się i znikaly, a sprężone w wysiłku ciała zderzały się ze sobą, od-
skakiwały i splatały w diabelskim, szaleńczym tańcu.*

*Chwilami przelotnie dostrzegala szczegóły, niczym czarne szkice na
krwawym tle. Zobaczyła zingarańskiego marynarza, oślepionego przez
wielki płat skóry zdarty z czaszki i zwisający mu na oczy, który wparł się*

W nogami w ziemię i wbił miecz w brzuch czarnoskórego przeciwnika. Wyraźnie słyszała, jak bukanier sapnął zadając cios i widziała, jak żółtawe oczy ofiary stanęły w słup z bólu, krew i wnętrzności trysnęły mu pod nogi. Umierający gigant chwycił ostrze gołymi rękami i marynarz daremnie próbował je wyrwać; nagle czarne ramię objęło szyję Zingarańczyka, a czarne kolano z potworną siłą nacisnęło na jego kręgosłup.

Gwałtowne szarpnięcie odchyliło mu głowę pod dziwnym kątem od tułowia i wśród zgiełku bitwy dał się słyszeć głośny trzask, podobny do trzasku łamanej gałęzi. Zwycięzca cisnął ciało pokonanego na ziemię - i w tej samej chwili coś, jakby błękitny płomień błysnął za jego plecami, przelatując od lewego do prawego ramienia. Gigant zachwiał się i głowa opadła mu na piersi, a stamtąd na ziemię.

Ten odrażający widok przyprawił Sanchę o mdłości. Zakrztusiła się i poczuła gwałtowną potrzebę zwymiotowania. Uczyniła daremną próbę odwrócenia się i ucieczki z pola bitwy, ale nogi nie chciały jej słuchać. Nie była też w stanie zamknąć oczu. W rzeczy samej, otworzyła je jeszcze szerzej. Zdjęta odrazą i walcząc z mdłościami, doznawała jednak tej straszliwej fascynacji, jaką zawsze czuła na widok krwi. Ta bitwa przekraczała wszystko, co widziała do tej pory podczas potyczek na morzu i lądzie.

Nagle dostrzegła Conana.

Oddzielony od swoich towarzyszy skłębionym tłumem wrogów, barbarzyńca został ogarnięty przez falę czarnych ciał i na chwilę zniknął pod nią. Szybko stratowałiby go na śmierć, gdyby nie pociągnął ze sobą jednego przeciwnika, którym osłonił się przed ciosami. Napastnicy próbo-

wali wyrwać umierającego kompana z jego objęć, ale Conan rozpaczliwie trzymał się swojej tarczy.

Atak Zingarańczyków spowodował, że napór wroga chwilowo zelżał; i Conan natychmiast odrzucił trupa na bok i zerwał się na równe nogi, usmarowany krwią, straszny. Giganci rzucili się nań - niczym czarne cienie, szarpiąc i zadając straszliwe ciosy. Jednak barbarzyńca był równie trudny do trafienia lub schwytania co rozwścieczona pantera i każdy cios jego miecza niósł śmierć i zniszczenie. Cymmerianin otrzymał już dość ran, by powalić trzech zwykłych ludzi, ale przy jego zwierzęcej witalności nie wywarły one na nim żadnego wrażenia.

Ponad bitewny zgiełk wzbił się jego wojenny okrzyk i zdumieni lecz wściekle walczący Zingarańczycy ze zdwojoną siłą wpadli na wroga, tak że chrzęst łamanych kości i łoskot ciosów zagłuszyły jęki bólu i wściekłości.

Czarni zaczęli się cofać i rzucili się do przejścia, a ukryta w nim Sancha krzyknęła przeraźliwie i umknęła na bok. Czarni stłoczyli się w ciasnym przejściu, a Zingarańczycy dźgali i siekli plecy uciekających z nie ukrywaną uciechą i okrzykami radości. Nim upłynęła chwila i resztki uciekających przedostały się przez przejście, leżał w nim wał trupów i rannych.

Bitwa zamieniła się w rzeź. Przez trawiaste dziedzińce, błyszczące schody, strome dachy wież, a nawet przez blanki szerokich murów umykali czarni giganci brocząc krwią przy każdym kroku, ścigani przez bezlitosnych zwycięzców. Przyparciu do muru, niektórzy podejmowali walkę i zabierali ze sobą wielu prześladowców. Jednak ostateczny rezultat był

zawsze ten sam - pochlastane ciało wijące się na murawie lub zrzucone z wysokiego muru czy dachu wieży.

Sancha schroniła się na dziedzińcu z sadzawką, przy której skuliła się, dygocząc ze strachu. Wokół słychać było dzikie wrzaski, tupot nóg o murawę i nagle z przejścia w murze wyskoczyła zbroczona krwią czarna postać. Był to gigant, który nosił na głowie wysadzaną klejnotami opaskę. Przysadzisty napastnik deptał mu po piętach i czarnoskóry odwrócił się na samym skraju sadzawki, by stawić mu czoła. Doprowadzony do rozpacz podniósł miecz upuszczony przez ginącego marynarza i gdy Zingarańczyk runął naprzód, uderzył go nieznaną sobie bronią. Bukanier padł z rozplataną czaszką, ale cios został zadany tak niezręcznie, że ostrze pękło w dłoni ostatniego z gigantów.

Cisnął rękojęścią w napastników tłoczących się w przejściu i skoczył w kierunku sadzawki z twarzą wykrzywioną w grymasie nienawiści. Conan przedarł się przez tłum korsarzy i runął jak burza na wroga.

Jednak gigant szeroko rozłożył ramiona i z jego ust wydobył się nieludzki krzyk - jedyny dźwięk, jaki czarni wydali podczas bitwy. Przepojony nienawiścią okrzyk wzbił się pod niebo, niczym dobiegające z otchłani wycie potępionych. Słyszac to Zingarańczycy zawahali się i przystanęli. Tylko Conan nie zawahał się. Cicho i nieustępliwie nacierał na hebanowoczną postać stojącą na skraju sadzawki.

Jednak w tej samej chwili, gdy jego miecz błysnął w powietrzu, czarny odwrócił się i skoczył. Przez ułamek chwili zawisł nad powierzchnią sadzawki; nagle z rozdzierającym uszy rykiem zielone wody podniosły się i

skoczyły mu na spotkanie, wchłaniając go niczym szmaragdowy wulkan.

Conan zatrzymał się, w ostatniej chwili unikając upadku w zieloną toń, i odskoczył, potężnymi ramionami odpychając cisnących się za nim kompanów. Zielona sadzawka zmieniła się w gejzer, a ogromny słup wody z ogłuszającym rykiem tryskał w górę, zwieńczony wielką koroną piany.

Conan pognął swoich towarzyszy do bramy, płazując ich bezlitośnie mieczem; narastający ryk fontanny zupełnie pozbawił ich ducha. Ujrawszy sparaliżowaną ze zgrozy Sanchę, patrzącą szeroko otwartymi oczami na wznoszący się ku niebu słup wody, przywołał ją gromkim okrzykiem, który przedarł się przez ryk wodotrysku i wyrwał ją z odrętwienia. Podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami; Conan złapał ją w pól i pomknął przed siebie.

Zmęczeni, obdarci i poranieni, pozostali przy życiu korsarze zebrali się na dziedzińcu przy bramie i brocząc krwią z osłupieniem spoglądali na wielką kolumnę wody, która wznosiła się coraz wyżej ku niebu. Jej zielony korpus był przetykany bielą; spieniony szczyt był trzykrotnie szerszy od podstawy. W każdej chwili mogła się załamać i runąć w dół niepowstrzymaną falą, lecz na razie wciąż jeszcze wznosiła się w górę.

Conan obrzucił spojrzeniem okrwawionych, obdartych towarzyszy i zaklął widząc, że został ich ledwie tuzin. W ferworze chwili złapał najbliższego za kark i potrząsnął nim tak gwałtownie, że opryskała go krew z

ran korsarza.

- Gdzie reszta - wrzasnął do ucha nieszczęśliwca.*
- To wszyscy! - odkrzyknął tamten przez ryk gejzeru.*
- Innych zabili czarni giganci...*
- Dobrze, uciekajmy stąd! - ryknął Conan, potężnym pchnięciem posyłając go na leb, na szyję w kierunku bramy.*
- Ta fontanna w każdej chwili może opaść...*
- Wszyscy się potopimy! - zakwicział jeden z korsarzy, kuśtykając w kierunku przejścia.*
- Potopimy, akurat! - wrzasnął Conan. - Zostaniemy zmienieni w kawałki wysuszonych kości! Zjeżdżać stąd, niech was diabli!*

Pobiegł do bramy, kątem oka zerkając na ryczącą, zieloną wieżę, która groźnie wznosiła się nad zamkiem, i na umykających towarzyszy. Oszolomieni walką, żądzą krwi i ogłuszającym hukiem wody, Zingarańczycy ruszali się jak w transie. Conan popędzał ich w prosty sposób. Łapał maruderów za kark i gwałtownie ciskał ich za bramę obdarzając solidnym kopniakiem w tyłek i dodając soczyste komentarze na temat prowadzenia się ich przodków. Sancha zdradzała ochotę, by z nim pozostać, ale Cymmerianin klnąc wściekle wyrwał się z jej objęć i popędził ją solidnym klapssem w tylną część ciała, który sprawił, że pomknęła przez równinę jak wystraszony królik.

Conan nie opuścił bramy dopóki nie nabrał pewności, że wszyscy jego ludzie, którzy przeżyli bitwę znaleźli się na równinie. Wtedy jeszcze raz

zerknął na szumiącą kolumnę wznoszącą się ku niebu, ponad wieżami miasta, i także uciekł z tego przeklętego miejsca.

Zingarańczycy przebyli już płaskowyż i biegli przez pagórki. Sancha czekała na niego na szczycie pierwszego pagórka, na którym przystanął na chwilę, aby spojrzeć na zamek. Wydawało się, że nad wieżami miasta kołysał się ogromny kwiat o zielonej łodydze i białych płatkach. Ryk wody niósł się pod niebiosa. Nagle szmaragdowo-biała kolumna pękła z ogromnym hukiem i gigantyczna fala zasłoniła mury i wieże zamku.

Conan złapał dziewczynę za rękę i pognał jak szalony. Przebiegał pagórek po pagórku, wciąż słysząc za sobą szum pędzącej wody. Obejrząwszy się przez ramię ujrzał szeroką, zieloną wstęgę unoszącą się i opadającą na kolejne zbocza. Strumień wody nie rozlewał się szerzej i nie wsiąkał; niczym gigantyczna żmija wił się przez dolinki i łagodne wzgórki. Utrzymywał stały kierunek - ścigał uciekających korsarzy.

Uświadomiwszy sobie ten fakt, Conan zmobilizował ostatnie rezerwy swych niespożytych sił. Sancha potknęła się i z jękiem rozpaczyny osunęła się na kolana, zupełnie wyczerpana. Barbarzyńca podniósł ją, zarzucił na mocarne ramiona i pobiegł dalej. Kolana uginały się pod nim, a szeroka pierś drżała w spazmatycznym oddechu, który ze świstem wydobywał się przez zaciśnięte zęby. Zaczął się zataczać. Przed sobą widział równie zmęczonych marynarzy, poganianych przez strach.

Niespodziewanie pojawił się przed nimi ocean, i zachodzące mgłą oczy barbarzyńcy dostrzegły "Wastreła", nie uszkodzonego. Załoga na łeb, na szyję wskakiwała do łodzi. Sancha upadła na dno jednej z nich i legła bez

ruchu. Conan razem z innymi zabrał się do wiosła, mimo że szumiło mu w uszach i czerwone płatki latały przed oczami.

Bliscy zupełnego wyczerpania popłynęli w kierunku statku. W tej samej chwili zielona struga dotarła do rosnących na brzegu drzew. Grube pnie runęły jakby nagle pozbawiono je korzeni i wpadłszy w szmaragdową toń, zniknęły. Strumień przepłynął przez plażę, wpadł do oceanu i natychmiast nabrał głębszej, bardziej złowieszczej barwy.

Bukanieców ogarnął na ten widok paniczny lęk, każący im zmuszać obolałe mięśnie do jeszcze większego wysiłku; nie wiedzieli, czego się obawiają, ale wiedzieli, że ta paskudna, zielona wstęga stanowi groźbę dla ciała i duszy. Conan wiedział, czego się obawiać i widząc jak szeroka struga wpada w morskie fale i mknie ku nim nie zmieniając kształtu czy kierunku, wyteżył wszystkie pozostałe mu siły i tak mocno naparł na wiosło, że drzewce pękło mu w rękach.

Jednak w tejże chwili dziób łodzi uderzył o burtę "Wastrela" i marynarze wdrapali się na pokład zostawiając szalupę własnemu losowi. Conan wniósł bezwładną Sanchę na ramionach, po czym bezceremonialnie rzucał ją na pokład i chwycił za koło sterowe, wykrzykując rozkazy do swej szczupłej załogi. Nikt nie kwestionował jego praw jako przywódcy - korsarze instynktownie słuchali jego poleceń. Zataczając się jak pijani, machinalnie wykonywali czynności, do jakich nawykli. Odcięty łańcuch kotwiczny z pluskiem wpadł do wody, a żagle załopotały i wypełniły się wiatrem. "Wastrel" zachwiał się i zakołysał, i majestatycznie ruszył w morze. Conan spojrział w kierunku brzegu; zielona wstęga bezsilnie wila

się wśród fal o kilka jardów za rufą statku, niczym szmaragdowy płomień. Zatrzymała się. Cymmerianin powiódł spojrzeniem po zielonej strudze, po białej plaży, po niskich pagórkach, aż ku niewidocznemu za

nimi miastu.

Conan nabrał tchu w piersi i uśmiechnął się do zdyszanej załogi. Sancha stała przy nim; łzy ulgi spływały jej po policzkach. Bryczesy Conana były w strzępach; zgubił gdzieś pas i pochwę na miecz, który, wbity w deski pokładu, był poszczerbiony i zbroczony krwią. Krew zlepiała gęstą grzywę barbarzyńcy i spływała mu po podrapanych barkach, ramionach i piersi. Jedno ucho miał mocno naderwane, ale uśmiechał się szeroko, mocno stojąc na muskularnych nogach i wprawnie kręcąc kołem sterowym.

- I co teraz? - spytała słabym głosem dziewczyna.

- Teraz po królewskie łupy! - zaśmiał się. - Mamy nieliczną załogę i w dodatku mocno poharataną, ale dadzą sobie radę ze statkiem, a załogę zawsze można znaleźć. Chodź, dziewczyno, daj mi całusa.

- Całusa? - krzyknęła bliska hysterii. - W takiej chwili myślisz o całowaniu?

Jego śmiech zagłuszył skrzyp lin i łopot żagli. Jednym ruchem mocarnego ramienia przycisnął ją do piersi i z niepohamowaną przyjemnością wycisnął na jej ustach gorący pocałunek.

- Myślę o życiu! - ryknął. - Co było, to było! Mam statek z waleczną załogą i dziewczynę o wargach jak wino, a to wszystko, czego zawsze pragnąłem. Opatrzcie sobie rany, łobuzy, i wynieście baryłkę piwa. Będziecie się zwijać jak jeszcze nigdy w życiu! I ma to być ze śpiewem na ustach, niech was diabli! Do licha z pustymi morzami! Ruszamy na wody pełne kupieckich statków czekających tylko, by je złupić!